

**ELIZA
ORZESZKOWA**

GEDALI

Eliza Orzeszkowa

Gedali

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

Gedali / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Gedali, Żyd schwytyany za pożywanie się grochem rosnącym przy drodze, zostaje rozpoznany przez właściciela pól jako wcześniejszy partner w interesach. Kolejna nowela, w której autorka porusza problematykę żydowską. Jest to motyw bardzo często pojawiający się w twórczości Elizy Orzeszkowej, która starała się pozorne wady przypisywane Żydom przedstawiać jako zalety. Dostrzegała ich trudny los, ale również pracowitość, przedsiębiorczość i poświęcenie. W swoich tekstach starała się skłonić Żydów do asymilacji z narodem polskim, od którego odróżnia ich w zasadzie tylko religia. Gedali to opowieść o tym, że nie można oceniać ludzi po pozorach oraz że warto pochylić się nad każdym człowiekiem, by poznać jego historię.

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

Eliza Orzeszkowa Gedali

Na szeroką równinę wieczór letni spuszczać zaczynał ten zmierzch przeźroczy, w którym wszystko przyćmionem jest, ale widzialnem. W tym powstającym zmierzchu ścierniska nie utraciły swej żółtej barwy i chropowatej powierzchni, drogi odcinały się od pola piaszczystą linią, kwitnąca gryka mętnie bielą, grusze polne przybrały kształty pękate, a włoskie topole, jak kolumny, sterczały nad zmaconemi liniami zabudowań małego folwarku. Na jednym skraju nieba błdziły jeszcze ogniste szkarłaty zachodu; na innym zgęszczone obłoki stały murem tak ciemnym, że można byłoby w nich dojrzeć upostaciowanie wstępującej na widnokrąg nocy. Powietrze było ciepłe i ciche. W ścierni odbywały się przepiórki; nad białą gryką zaczerniał czasem nietoperz i, zakreśliwszy w locie półkole, kędyś przepadał; od niedalekich pastwisk dolatywało rzenie koni. Zresztą, zwierzęta, ptaki i owady spały; ludzi nigdzie widać, ni słyszeć nie było. Istnienie ich objawiało tylko kilka światełek, migocących wśród zabudowań folwarku.

W zmroku i milczeniu rozległych sennych pól jeden tylko człowiek szedł drogą, nad którą ze stron obu stare wierzby pochylały swe węzłowate, dziwacznie powykręcane gałęzie. Nie zmierzał ku folwarkowi; owszem, minął go i zarazem wyszedł z pod gęstych gałęzi wierzby na czyste pole. Tu ostatki światła słonecznych, tułające się jeszcze na zachodzie nieba, ogarnęły postać jego wysoką, cienką, zgarbioną, pod obarczającym mu plecy tłómokiem. Ubranie miał długie, aż do stóp sięgające, zgniecioną czapkę z podartym daszkiem, obuwie ciężkie i białe od pyłu. W ręku trzymał kij, na którym się wspierał. Szedł bardzo powoli. Od kilku tygodni panowała na stronach posucha, która drogę uczyniła piaszczystą; przytem znajdowało się na niej mnóstwo kamieni. Stopy idącego uderzały o kamienie, albo grzęzły w piasku, podnosząc zarazem małe tumany krztuszącego pyłu; że zaś, niosąc tłómok, twarz musiał ku ziemi pochylać, chwycił kurzawę w usta i gardło, a oddech jego ciężki i spieszny szemrał i chrzypiał w ciszy, głuszony czasem krzykiem przepiórki, rzucającej z ciernisk jasne, wesołe nuty. Raz światło zachodu, nietrwałe i blade, przemknęło mu po twarzy. Była ona podłużną, ciemnym zarostem otoczoną; miała białość opłatka zaprawionego woskiem, kości szczęk sterczące, usta wpółotwarte i oczy utkwione w ziemi.

Staął, aby odpocząć, lecz wyprostować się nie mógł, bo tłómoka z pleców nie zrzucił. Stał więc zgarbiony, na kij u wsparty i, tylko wzrok podniósłszy, patrzył w górę na gęstniejący płaszcz zmroku, czy przerywny go górą pas białej mgławicy. Wtem powiała nań świeżość obficie spadłej rosy, zmieszana z rzeźwą wonią bujnej roślinności. W gęstwinie jakiejś zaszumił cichy szelest; było to jakby przemknięcie się zająca czy kota, a może zatrzepotanie skrzydeł obudzonego w niskim gnieździe ptaka. Spojrzał na pole; rośna świeżość biła z ładu, pokrytego gęstą zielenią grochu, w której sennie szemrało mnóstwo istot żyjących. Tu i ówdzie na puszystej powierzchni białeły jeszcze spóźnione kwiaty, długie, zwikłane łodygi, gniotąc się wzajem, kładły się na ziemię pod ciężarem wielkich, dojrzałych strąków.

U brzegu piaszczystej drogi, człowiek zgarbiony pod ciężarem grubego tłómoka pochylił się jeszcze niżej; po chwili kij wypadł mu z ręki, a obie dłonie, popchnięte jakby wołą od niego niezależną, wyciągnęły się ku zielonym łanom. Cofnął je przecież i zdawać się mogło, że wnet pójdzie dalej, lecz nogi jego jakoby w ziemię wrosły.

– Aj, aj! aj! och!

Były to westchnienia żądy. Głową w obie strony poruszył, językiem o podniebienie cmoknął, tłómok z pleców na drogę zrzucił i, na klęczki padając, obie dłonie w gęstwinie grochu zatopił. Teraz słyszeć było chrzęst odłamywanych strąków i głośnie chrupanie ich w chciwych zębach. Czołgał się na klęczkach coraz dalej. Szczęki jego poruszały się szybko i ręce latały od gęstej zieleności do ust i od ust do zieleności. Strąki grochu były oblane rosą i trudno byłoby powiedzieć, czy łakomie pożerający je człowiek zaspokajał bardziej głód, czy pragnienie. Co pewna, to, że jadł i pił zarazem, więcej nawet

pił, niż jadł. Czoło miał spieczone skwarem dziennym i usta pełne pyłu; więc schylił się tak nisko, że całą twarz utopił w mokrej gęstwinie i – jeść przestając, zdawał się odpoczywać w cichej rozkoszy.

W tej samej chwili, niedaleko, o kroków kilkadziesiąt, podniósł się z ziemi człowiek inny, wsłuchiwał się i wpatrywał przez chwilę w mroczną przestrzeń, poczem rzucił się na miedzę i z podniesionym kijem, dokonawszy kilku elastycznych podskoków, klęczącego człowieka pochwycił za kołnierz ubrania. Zarazem, głos młody i świeży zawołał:

– A co ty tu robisz, złodzieju, włóczęgo! Groch nasz depcesz i zjadasz i pewno jeszcze kieszenie nim sobie napychasz! Złapałem cię, psia ty duszo! Wstawajże! no! i chodź ze mną na sądy, bo jak cię walnę kijem, to zaraz jak koń pogalopujesz za mną!

Czy mógłby galopować, nawet pod bodźcem kija? – pytanie. Ale zerwał się z ziemi bardzo prędko, od głowy do stóp trzęsąc się z przestachu. Tak nagle schwytano go, w chwili tak błogiej! Kilkakrotnie zgiął się niskimi, prędkimi ukłony, ochryłym głosem i bezładnie mówiąc:

– Oj, oj! niech mnie wielmożny panicz puści! ja do szynkarza w Szumnej na nocleg idę! Aj, aj! ten groch, tak sobie przy drodze... taki piękny groch... ja sobie tylko troszeczkę... Niech mi wielmożny panicz daruje i puści... czy to taka szkoda, czy co?

Niesłuchając go prawie, chłopak krzyczał:

– A! czy to wielka szkoda? A cóż? może nie szkoda? Może przybytek nam z tego, że **takie** złodzieje jak ty, wszystek groch z brzegu objadają. **Było** (trzeba było) jeszcze kartofli naszych nakopać? Miałbyś czym **bałabostę** w szabas potraktować. Przez was człowiek, jak pies, na polu nocować musi, aby swojej rodzonej własności pilnować, a tu jeszcze ojciec krzyczy, że nigdy żadnego złodzieja nie złapię. Ot i złapałem! Ot i złapałem! Chodź do ojca. Na sądy! Będzie tobie! popamiętasz!

Ramionami rozmachiwał szeroko i krzyczał wciąż tak głośno, aż się po polu rozlegało. Ochrypli, cichy głos wciąż znowu odpowiadał:

– Oj! oj! niech mnie wielmożny panicz puści... ja do szynkarza w Szumnej na nocleg – Oj, sąd! ten groch tak sobie przy samej drodze rośnie! a na co przy drodze rośnie? Ja tatkę wielmożnego panicza znam... żeby on taki szczęśliwy był, jak ja jemu życzę... żeby on drugi taki folwark kupił... żeby jemu na tem polu same złoto rodiło... żeby on, nu! **sto** takich pięknych synów jak panicz wyhodował!

W zmroku nie widać było wyrazu jego twarzy, ale co kilka słów zgiął się niskim ukłonem, a krępy chłopak, w krótkiej siermiężce, ochłonał snadź z gniewu, czy z natury już nie był srogim, bo parsknął śmiechem.

– A to błogosławi! – zawołał. – **Sto** synów! Piękniebym ja na tem wyszedł, gdybym miał **dziewięćdziesiąt dziewięć bratów**! No, duszo niechrześcijańska, nic nie wskórasz, nic u mnie swemi błogosławieństwami nie wycyganisz! Marsz przedemną, a ja za tobą, jak żołdat za aresztantem. Do tatki na sądy! *Ein, zwei, drei*, marsz!

Naśladując ruchy żołnierskie, kij wziął do ramienia i następował na żyda, który z trudnością i stękając wkładał tłómok na plecy. Ośmielony wesołością tego, który go pojmał, z cichym śmiechem zaczął:

– Nu, pójdę, pójdę! a czemu ja niemam pójść? czy to ja paniczowego tatki nie znam? czy ja nie wiem, że on biednemu Gdalu nic złego nie zrobi. Ja pana **Ignaca Korejbe**gona znał jeszcze wtedy, kiedy on w Korejbach... w swojej okolicy żył... a ot, teraz to już **pięć latów**, jak on sobie ten folwark kupił... Daj Boże, żeby jemu na zdrowie było! ja jego nie boję się! on miłosierny człowiek!

Jednak w drzeniu głosu, i nawet w cichym śmiechu jego czuć było, że się bał. Zaczął iść znowu ze zgiętymi plecami i schyloną twarzą. Oddech jego stał się głośniejszym, głos bardziej zachrypł, kilka razy zakaszłał i splunął. Karciciel jego tuż za nim postępował. Wkrótce znaleźli się obaj u wejścia do wierzbowej alei.

– Na prawo, marsz! – donośnie zakomenderował syn właściciela folwarku.

Pojmany zaśmiał się ochryple.

- Chi, chi, chi, chi! jaki panicz wesoły! daj Boże zdrowie paniczowi!
- Będiesz ty mi wieszował, jak tatko za ten groch chałat ze skóry zedrze!
- Chi, chi, chi, chi!

Znowu zakaszłał i za chwilę przystanął.

- No, idźże prędzej, bo w kark palnę!

Ściśniętą pięść podniósł nad zgiętymi plecami żyda; nie uderzył jednak, tylko przez czas jakiś uderzeniem groził.

W głębokim cieniu wierzb zaszemrało przeciągłe westchnienie.

- Och, och, och!

*

W folwarku Ignacego Korejby dom mieszkalny niewielki, słomą pokryty, rozdzielony był sienią na dwie połowy, z których w jednej mieściła się czeladź wraz z pactwem domowem, druga była mieszkaniem właściciela folwarku i jego rodziny.

Roboty dzienne przed chwilą dopiero ukończono. W izbie czeladnej przy wielkiem ognisku gotowano wieczerzę dla parobków, pastuchów i dziewcząt służebnych. Słychać było gwar grubych głosów męskich, rubaszne śmiechy kobiece, czasem wesołe poszczekiwanie psa i przeraźliwe gdakanie kur, które blask ognia i głosy ludzkie obudziły w ciemnych podpieckach. Z drugiej strony sieni izbę obszerną, mającą podłogę z desek, ściany czysto wybielone i nieco odymiony sufit, oświetlał także ogień, palący się jednak nie w wielkiem piecowisku, jak w izbie czeladnej, ale w głębokim i rozłożystym kominie. Gotowało się coś przy nim w sporym garnku, jaskrawy blask ognia padał na wiszące po ścianach święte obrazki, na czerwone ławy, stoły i stołki, na zalegające kąt izby krosna tkackie i przez drzwi otwarte, zaglądnąc do sąsiedniego pokoju, niewyraźnie ukazywał zarysy porządnie usłanych łóżek, żelazem okutych skrzyń, worów wypchanych wełną czy mąką, wiszących na ścianie koszów, kobiałek, motków i także świętych obrazków. Izba tamta służyła za sypialnię i skarbiec, ta za jadalnię a po części i kuchnię.

Ignacy Korejba przed kwadransem dopiero wrócił z pola, gdzie wraz z parobkami napełniał wozy zżętym jęczmieniem i, z powodu gorąca surduta zdjąwszy, w płóciennej kamizelce siedział za stołem, na którym pachniał bochen razowego chleba, stały talerze fajansowe i leżały cynowe łyżki. Nizki był, krępy, z szerokimi plecyma, twarzą okrągłą jak księżyc w pełni i głową zjeżoną siwiejącymi, krótko ostrzyżonymi włosami. Aż do wiśniowej barwy ogorzała skóra twarzy i karku, czoło pełne zmarszczek i ręce grube, z palcami w dziwne węzły, świadczyły, że mały lecz żyzny ten folwark nie przyszedł mu darmo, lecz został przezeń wydobyty z morza krwawego potu i mnóstwa przecierpianych utrapień. Mimo to wszystko jednak, z całej postaci tego zaściankowego szlachcica były niepospolita siła i kwitnące zdrowie, a twarz tryskała rubaszną wesołością i szczerem zadowoleniem z siebie i ze wszystkiego, co zdobyć potrafił.

Wcale inaczej wyglądał siedzący tuż przy stole wysoki i chudy ekonom z Szumnej, człek lat średnich, na długich nogach, z twarzą długą, z przebiegłymi oczyma i ostrym krzakiem czarnych wąsów nad chytremi usty. Miał on na sobie czarny surdut i czerwony krawat pod szyją. Wiedzieli wszyscy, że był bardzo próżnym, podobno też bardzo zręcznym człowiekiem i ze wszystkich i wszystkiego drwił. Dziś, wracając z sąsiedniej wioski, gdzie robotników zamawiał, tłustego konika do płotu przywiązał i wstąpił do Korejbow na pogadankę sąsiedzką i świeże kartofle, które właśnie gotowały się na ogniu. Z gospodarzem domu wiodąc rozmowę o żniwach, wciąż przebiegłymi oczyma zerkał na młodziankę Korejbiankę, która, jakkolwiek miała lat dopiero piętnaście, częstych już gości do ojcowskiej chaty sprowadzała; ten jednak nie był jej snadź miłym.

Niedorośla dziewczynka, w perkalowej sukience, która nie zakrywała ani bosych stóp, ani ogorzałej szyi, stała w pobliżu ognia i, profilem do konkurenta zwrócona, palcem wodziła po chropowatej powierzchni komina. Ogień złościł jej twarz, przypominającą rumiane jabłuszka,

przeglądał się w siwych źrenicach i rozżarzał czerwoność wstążeczki, opasującej włosy złotawe, luźnie na plecy spuszczone.

W odblasku tego ognia, doglądając garnka i nie mieszając się do rozmowy mężczyzn, stała i matka rodziny, wysoka, koścista, z czołem tak samo, jak u jej męża, zmarszczonem i tak samo grubemi rękami, nie tak przecież jak on silna i zdrowa, owszem, może trochę chora, może zahukana, gapiowata, wciąż usta otwierająca. Długie lata przepracowała w domu i na polu, wiele dzieci zrodziła, wypiełnowała i pogrzebała na parafialnym cmentarzu. Troje tylko wyrosło jej zdrowo; ta oto rumiana dziewczynka, palcem po szorstkiej powierzchni komina wodząca, i dwaj jeszcze synowie.

O synach w tej chwili rozmawiał z sąsiadem Ignacy Korejba. Miał on ciężkie zgryzoty. Oto Stefek, który teraz pilnuje na polu kartofli i grochu, na świętego Piotra i Pawła dwadzieścia lat skończył. Za rok do wojska! A jak on bez tego syna na gospodarstwie zostanie? Starzeje się już, ciężko mu będzie. I na tak długo! Bo kiedy Stefan był dzieckiem, nie wiodło się im jeszcze tak dobrze, jak teraz. Więc czytać i pisać uczył się tylko w domu i żadnej **lgoty** (ulgi) nie ma. Na sześć lat pójdzie w **soldaty**. Ani go może potem oczy nasze nie zobaczą... Wszak wojna zaskoczyć może... a tu tymczasem prawej ręki ojcu zabraknie...

Korejba zwróciła się twarzą do ognia i rękawem koszuli po oczach sobie przesunęła. Zaś ekonom z Szumnej teścia swego *in spe* z przymileniem zapytał:

– No – a Janek? Ten już do wojska nie pójdzie, jak szkoły skończy?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.